MATKA I CÓRKA

Warszawa 1975

Przeprowadzka

Waldek nareszcie dostał podwyżkę w PKSie i możemy sobie pozwolić na zmianę mikroskopijnego pokoiku przy ulicy Małej na duży pokój z kuchnią na Ziemowita. Wodę, co prawda, trzeba będzie nosić od pompy, łazienka to tak naprawdę komórka z wiadrem, ale dom jest parterowy, sąsiadka – przyjemna babcia, no i nie ma kota skaczącego po garnkach i sikającego, gdzie popadnie. Tu, u Peplińskiej, każde gotowanie to mordęga i zrzędzenie, że korzystamy z wody i gazu, bo znowu zupę pitraszę. U Rudasiowej będzie własny kuchenny kąt, więc nikt nie będzie mi stał nad głową i zaglądał, ile czego ugotowałam.

Pakuję nas piorunem, bo to okazja, a jędza z Małej gotowa policzyć za przyszły miesiąc, jak nie zwolnimy pokoju do jutra, choć jest jeszcze tydzień do końca września.

Rzeczy mamy tak mało, że mieścimy się w Trabancie na dwa kursy. Pierwszym zabieramy wąską szafę i nasze ubrania. Następnym – Małgosię z osprzętem oraz to, co mieliśmy własnego w kuchni.

Trzęsą mi się ręce, bo Peplińska nie spuszcza mnie ani na moment z oka i liczy każdą łyżkę. To przede wszystkim ona, a nie metraż, jest przyczyną naszej pospiesznej decyzji o zmianie lokum. *Ach, wyjść stąd już, czym prędzej, i nigdy w życiu baby nie oglądać!* – marzę wystawiając ostatnie pakunki za drzwi.

– Wszystko? – Waldek krzyczy z dołu klatki schodowej.

– Jeszcze tylko raz! – odpowiadam wychylając się za barierkę.

Małgosia ma niecałe dwa latka. Znoszę ją i usadawiam w samochodzie.

– Jak zrobisz miejsce przy moich nogach, to zmieści się jeszcze torba z zabawkami. – mówię do męża i maszeruję po raz ostatni na trzecie piętro.

Pod drzwiami staję jak wryta – po pluszowym misiu, większym od naszej córeczki, lalkach, dla których uszyłam ubranka, aby Małgosia mogła je przebierać, i drewnianych klockach z namalowanymi zwierzakami nie ma nawet śladu!

– To jeszcze raz ja… – pukam do Peplińskiej, pod której drzwiami stała torba i miś – czy schowała Pani zabawki Małgosi do środka?

– Co też pani! – prycha baba i z hukiem zatrzaskuje mi przed nosem drzwi.

Płacząc schodzę do samochodu. Waldek zaciska pięści i biegnie na górę.

Puka do wszystkich sąsiadów na klatce.

Nikt nie widział. Nikt nie słyszał.

Wkurzeni bezczelnością i brakiem pomocy wyjeżdżamy raz na zawsze z wiecznie obsikanej praskiej bramy.

Styczniowy telefon

U Rudasiowej jest o niebo lepiej. I – mimo fizycznych niedogodności – wolę sto razy jej zimną wodę i węgiel, niż „ciepełko” poprzedniej właścicielki.

Małgosia rośnie zdrowo, zaczyna trzeci roczek i zapisuję ją do przedszkola, w którym od września zaczynam pracę. Męczymy się dwa tygodnie. Co ranek ta sama histeria, biegunka i wymioty. Dziecko zapiera się nogami i za nic na świecie nie chce puścić moich ramion. Poddaję się i zostawiam ją raz, na próbę, samą w domu. Waldek kończy dziś zmianę przed

południem. Pani Rudasiowa jest za ścianą, więc usłyszy płacz i, w razie czego, przyjdzie do małej. Proponuje nawet, że posiedzi z nią, ale dziękuję, bo na opiekę nas nie stać.

Po pracy biegnę od przystanku spodziewając się w domu najgorszego. Tymczasem Waldek z uśmiechem oznajmia, że Małgosię zastał w łóżeczku, śpiącą pośród książeczek, czyli dokładnie tam, gdzie ją zostawiłam. Rudasiowa dodaje, że „nie widziała w życiu takiego dziecka! Za ścianą było cichutko, a jak zajrzała przez okno, to mała najpierw oglądała coś w łóżeczku, a potem zasnęła".

Problem z dzieckiem sam się więc rozwiązał i jeszcze przez rok schemat dnia miał wyglądać tak samo: Waldek wychodzi i przychodzi z pracy różnie, ja na ósmą, więc daję Małgosi śniadanie i zasypuję książeczkami. Potem jedno z nas wraca i wyjmuje ją z łóżeczka, daje obiad, bawi się razem aż do kolacji.

Dziś zrobiłam lane kluseczki. Mała siedzi mi na kolanach i, jak rasowy niejadek, odliczając łyżki za wszystkich członków rodziny, łaskawie daje się karmić.

Nagle Rudasiowa puka w okno. Jest do mnie telefon. U niej.

Zostawiam Małgosię na krześle i biegnę.

Wracam zdenerwowana, wycieram oczy i nos. Z pochlipywania w kuchni wyrywa mnie krzyk dochodzący z pokoju.

To mała włożyła łokieć w talerz z gorącą zupą mleczną. Chwytam ją i wsadzam oparzoną rękę do lodowatego wiadra. Małgosia płacze, choć w telewizorze Dalida wyśpiewuje swój największy przebój, wachlując scenę szarą sukienką.

Ręce mi się trzęsą, gdy kończę ją karmić. Wsadzona do łóżeczka wydziera się wniebogłosy, akurat jak muszę ją zostawić i jechać do szpitala, bo Waldek miał wypadek. Na moście Gdańskim.

– Jest takie oblodzenie, że auta wirują, jak chcą – relacjonuje milicjant z drogówki.

– Pani się nie martwi – dodaje chirurg. – Mąż miał szczęście. Gdyby blacha uderzyła dwa centymetry wyżej, straciłby oko, a tak to będzie jedynie małe szycie na policzku.

Weszłam na salę i zobaczyłam zabandażowaną głowę i rękę.

– Żyjesz? – tylko tyle potrafiłam wykrztusić.

Mijają dwa tygodnie.

Rudasiowa codziennie pyta o zdrowie i podsuwa telefon.

– Naprawdę może pani dzwonić – dodaje widząc moje niedowierzanie. – Proszę tylko ode mnie pozdrowić męża.

Kiedy Waldek zjawia się zdrów i cały w domu, idziemy do właścicielki z bombonierką.

– Leżał ze mną na sali taki jeden Japończyk… – mąż zaczyna opowiadać, jednocześnie wyjmując z torby zawiniątko. – Dyplomata. Miał złamaną rękę i jakieś urazy w środku, też przez to lodowisko na moście. Trochę próbował mówić po polsku, i tak żeśmy sobie leżeli we dwóch. Wypisali go dzień przede mną, a na odchodne dał mi japońskie mydełka. To dla Pani.

Rudasiowa broni się przed prezentami.

My jednak jesteśmy uparci i kończy się na tym, że słodycze i jedno mydełko zostaje u niej. Drugie pachnie do dziś między swetrami w naszym regale.

Los, który wygrałam

Wiosną, w przedszkolu, gdzie pracuję i gdzie miała chodzić Małgosia, dyrektorka wzywa wszystkich na piętro do sali balowej, na „losowanie". Wcześniej, pracowałam tylko w zakładzie fryzjerskim i tam niczego takiego nie było, więc czuję się niepewnie.

– Pani Lodziu, o co chodzi? – pytam na schodach starszej ode mnie o dwadzieścia lat opiekunki maluchów, z którą najbardziej się zżyłam.

– Będziemy losować wycieczkę nad morze – słyszę. – Dwutygodniową, dla całej rodziny. Wszyscy losują, tak jest co roku.

– Myśli Pani, że ja też powinnam? Pracuję tu dopiero cztery miesiące – dopytuję, chociaż i tak nie mam złudzeń, że z moim kulawym szczęściem, w ogóle nie mam szans.

– To nic nie szkodzi – Pani Lodzia obejmuje mnie serdecznie. – Zawsze tak było, niezależnie od wieku czy stażu. Więc, Pani Jadziu, niech się Pani nie martwi, tylko bierze los w swoje ręce, a nuż się do Pani uśmiechnie.

No więc wzięłam ten los i, ku mojemu i całej reszty zaskoczeniu, wygrałam! Wycieczkę do Łeby, z noclegiem w hotelu zakładowym i zwiedzaniem Trójmiasta.

Oboje z Waldkiem pochodzimy z niewielkiej wioski koło Sokołowa Podlaskiego. Jako dzieci pamiętamy jedynie wyprawy z ojcami na targ albo do mleczarni, sierpniowe odpusty w Niecieczy, urzędowe sprawy i laryngologa w Siedlcach, bo bliżej dobrego nie było.

Dlatego jeszcze przed ślubem postanowiliśmy wyrwać się do stolicy, znaleźć mieszkanie, pracę i tu żyć. Nie było nam, i dalej nie jest, lekko. Właściwie nie odpoczywamy, nigdzie nie jeździmy, ciułamy każdy grosz. Teraz (chociaż wciąż w to nie dowierzam), po raz pierwszy, mamy okazję zażyć prawdziwego urlopu i zobaczyć trochę większy kawałek świata. Po raz pierwszy umoczyć stopę w morzu i uodpornić jodem gardło Małgosi.

Dyrektorka przedszkola, Pani Górska, wręcza mi kopertę i gratuluje. Widać, że cieszy się razem ze mną, szczerze.

Inne panie, zebrane na sali, milczą, przestępują z nogi na nogę. Ledwo klaszczą.

Kiedy tylko dyrektorka wychodzi, obstępują mnie, niczym wiedźmy.

– To niesprawiedliwe! – rzucają mi w twarz jedna przez drugą, a przez następny tydzień omijają szerokim łukiem. Zbijają się w kątach w zawistne grupki i cedzą przez zęby:

– Ledwo przepracowała parę miesięcy i już jedzie na wakacje!

– Ja haruję piętnaście lat i nic!

– To nieuczciwe! Jakby dyrektorka była sprawiedliwa, toby jej nie dała losować!

Atmosfera w salach i na korytarzach robi się fatalna, a ja czuję się w niej coraz gorzej.

– Pani Jadziu, Pani się tym tak nie przejmuje – pociesza mnie najdłużej pracująca w przedszkolu Pani Lodzia, która, o dziwo, nigdy jeszcze wycieczki nie wygrała. – Przestaną.

Wieczorem rozmawiam z Waldkiem i podejmujemy decyzję.

– Pani Dyrektor, bardzo dziękuję za wygraną – oznajmiam drżącym ze zdenerwowania głosem na najbliższym zebraniu – ale lepiej będzie jak zamiast mnie pojedzie na tę wycieczkę Pani Stasia – podchodzę do najgłośniej szczekającej na korytarzach kobiety i wręczam jej kopertę ze szczęśliwym losem.

– Jak to? Ale dlaczego? – dyrektorka w całej swojej karierze nie spotkała się jeszcze z takim przypadkiem.

– Ja po prostu rezygnuję z wycieczki – powtarzam głośniej i odważniej. – Pracuję tu zbyt krótko żeby mi się należała.

Po roku, wiosną, przychodzi czas losowania. Tym razem nie czuję niepokoju, nie zaczepiam Pani Lodzi. To ona bierze mnie pod łokieć.

– A Pani czemu nie idzie?

– Pani Lodziu – mówię cicho, ale z przekonaniem – a niech tam sobie losują. Ja naprawdę nie chcę brać już w tym udziału.

Warszawa 2000

Właściwa osoba na właściwym miejscu

W maju startuję z nową pracą. W korporacji ubezpieczeniowej o międzynarodowym zasięgu. W dziale szkoleń i kontaktów z klientami, ponieważ mam już kilkuletnie doświadczenie w prowadzeniu autorskiego instruktażu i wiedzę zdobytą o branży – u brokera.

Przyjęto mnie po trzech rozmowach, z pięcioma szychami – krawaciarzami.

Biuro jest przestronne, klimatyzowane, budynek ze szkła. A osoby, z którymi dzielę pokój, przesympatyczne. Wymagająca, ale w swoim wymaganiu sprawiedliwa, Ewa i cudownie ciepły, do rany przyłóż, Adam. W ich towarzystwie i z ich wsparciem wyrastają mi skrzydła. Szybko wdrażam się w system, nowinki i zaledwie po dwóch tygodniach Ewa stwierdza, że może mnie już zostawić w biurze samą, podczas kiedy ona wyjedzie do Stanów. (Adama w tym czasie zmogła potężna grypa.)

– Małgosiu, jestem pewna, że dasz sobie radę – Ewa, ta sama, przed którą inne osoby w dziale szkoleń drżały, uściskała mnie czule na pożegnanie. – Gdybyś naprawdę nie wiedziała jak zająć się jakąś sprawą, to zawsze możesz ją przesunąć do momentu, kiedy ja lub Adam wrócimy. Ale, znając ciebie, myślę, że nie powinnaś mieć problemów.

I rzeczywiście. Mam, co prawda, „sajgon" i oczy dookoła głowy, pojawia się mnóstwo spraw do załatwienia „na wczoraj", ale daję radę, a stos dokumentów, zostawiony jako spadek po przedniczce, w banetce zatytułowanej „sprawy trudne", topnieje, mimo bieżących telefonów od klientów i współpracowników.

– Dzień dobry, Pani Małgosiu! – już po paru dniach słyszę pierwsze podziękowania w słuchawce. – Nareszcie firma postarała się o kogoś odpowiedniego na to miejsce. Pewnie Pani nie wie, ale ta Pani, co była przed Panią, cały czas powtarzała: „proszę się nie denerwować, to musi trochę potrwać". I trwało. Miesiącami. A teraz taka niespodzianka!

Kiedy Ewa wraca z podróży, zastaje mnie zabieganą, ale całą w skowronkach.

We wtorek odwiedza nasze biuro elegancka kobieta w kapeluszu. Ewa rozpoznaje ją natychmiast i otwiera szeroko drzwi.

– Witam Pani Kasiu. Jak się Pani miewa? W czymś pomóc? – pyta.

– Pani Ewo, dziękuję – odpowiada twarz w kapeluszu. – Ale dzisiaj, wyjątkowo, nie do Pani przychodzę. Chciałabym zamienić parę słów z Panią Małgosią.

Podrywam się zza biurka i witam.

– Katarzyna Kowalska – kobieta podaje mi rękę i od razu sięga do torby po zapakowany w połyskujące srebro podłużny kształt. – Chciałam Pani osobiście podziękować.

– Ależ, Pani Kasiu, przecież ja nie dla prezentów... – powstrzymuję jej dłoń, a Ewa uśmiecha się do nas zza swojego biurka.

– No dobrze, to teraz opowiadaj, co takiego zrobiłaś? – pyta tuż po wyjściu klientki.

– Nic takiego – odpowiadam zaskoczona całą sytuacją. – Załatwiłam tylko akceptację wniosku, w terminie, na jakim Pani Kasi zależało.

– Widzę, Małgoś, że dobrze się stało, że zwolniliśmy Elkę – Ewa puszcza do mnie oko. – Jesteś właściwą osobą na właściwym miejscu.

300% normy

Adam uporał się z grypą we czwartek.

– Cześć Ewa, no i jak tam sobie radzi nasza nowa koleżanka?

– Słuchaj! To już nie jest nasza „nowa koleżanka"! – Ewa bierze go pod ramię. – Pamiętasz ten stos dokumentów, jaki zostawiła po sobie Elka? To miały być sprawy nierozwiązywalne! Tymczasem, nasza „nowa" już to wyczyściła! I jeszcze prezenty dostaje! Mówię ci, ona jest naszym strzałem w dziesiątkę! – Ewa wyrzuca z siebie superlatywy, nie zważając na to, że siedzę przy biurku obok i popadam w samozachwyt.

Następny tydzień mija różowo. Dobrze naszej trójce ze sobą. Praca idzie do przodu, widać efekty. Gęby nam się śmieją i optymizmem zarażamy inne działy.

Do godziny 16:00, w piątek. Bo wtedy, nagle, Adam zostaje poproszony do gabinetu naszego dyrektora, a wraca stamtąd ze zwieszoną głową.

– Coś się stało? – próbuję zburzyć *posępa*, jaki go dopadł.

– Lepiej nie pytaj – pada wymijająca odpowiedź.

Ponieważ jednak nie ustępuję w dociekaniach, dodaje coś, czego w pierwszej chwili nie rozumiem, ale zapamiętuję do końca życia.

– Wszyscy widzą jak pracujesz. Nie na 100%, tylko na 300! I dlatego powiedziałem mu właśnie, że jeżeli to zrobi, to będzie największa niesprawiedliwość…

Pięć minut później ja również jestem wezwana do dyrektora, proszona o zajęcie miejsca oraz powiadomiona, że od poniedziałku przyjdzie na moje stanowisko nowa osoba.

– A czy mogę wiedzieć co zrobiłam nie tak? – pytam, jakoś omijając kołek w gardle i powstrzymując ogniska zapalne na policzkach.

– Nic. To nie o ciebie tu chodzi, tylko o tę drugą – dostaję na twarz dziwaczną odpowiedź. – Wiem ile z siebie dajesz i dlatego będę z tobą szczery – dyrektor postanawia jednak mnie oświecić. – Nie mam wyjścia. Jak wiesz, ja też mam nad sobą szefów i jeden z nich ma siostrzenicę...

Nie musi kończyć. Wszystko jasne. Rodzinka górą!

– Może coś znajdziemy. Jest dużo działów... – jeszcze próbuje wyjść z twarzą.

– Dziękuję – przerywam mu szybko, – ale raczej nie powinnam czekać na kolejną siostrzenicę.

– Przykro mi, że tak to się kończy – teraz już dyrektor nie pozostawia żadnych złudzeń, a ja nawet doznaję olśnienia dlaczego. Staję się bowiem niewygodnie dużo wiedzącym pracownikiem.

– Ta nowa dziewczyna przyjdzie już w najbliższy poniedziałek – dociera do moich uszu głos zza biurka, odległy o milion lat świetlnych. – Ty, oczywiście, pracujesz do końca miesiąca, więc gdybyś mogła przeszkolić ją w obowiązkach, byłbym wdzięczny.

– Może Pan być spokojny. Przeszkolę ją – odpowiadam lodowato, nie dając po sobie poznać jak bardzo mnie ta wiadomość rozjechała.

Z Pani jest taka porządna firma

Przez weekend nie wydarza się żaden cud, więc – zgodnie z obietnicą – w poniedziałek widzę na moim miejscu dziewczynę, na oko zaraz po studiach. Wygląda na sympatyczną. Zamieniamy parę słów i wychodzi na jaw, że jest absolutnie zielona w produktach, z którymi przyjdzie jej na co dzień obcować, bo ledwo skończyła farmaceutykę. Mój nieuleczalny bzik na punkcie szkoleń bierze górę nad obiecaną sobie oschłością i rozpoczynamy regularny trening.

Po ośmiu godzinach intensywnej pracy, z i nad Beatą, dziewczyna nie wytrzymuje i zadaje kluczowe pytanie:

– Słuchaj, a dlaczego, odchodzisz z firmy? Przecież świetnie się na tym znasz. Klienci tak cię lubią! Nie wiem czy będę potrafiła sprostać temu, co po sobie zostawiasz…

Po raz pierwszy, od chwili kiedy się poznałyśmy, patrzę na nią jakby urwała się z choinki.

– To ty nie wiesz? – pytam, a kiedy kręci przecząco głową, biję się z myślami, czy aby na pewno powinnam ją uświadamiać. – Z twojego powodu – odpowiadam w końcu.

– Jak to: z mojego?

– Po prostu. Ty przychodzisz, więc ja muszę odejść.

– Jak to?! – oczy Beaty zaczynają przypominać wielkością pięciozłotówki. – To znaczy, że ja… pozbawiam cię pracy? Ja… na twoim miejscu, byłabym wściekła, a ty jeszcze przekazujesz mi to wszystko! Tak nie może być! Wujek obiecał mi pracę, ale nie w taki sposób! – wykrzykniki i jej reakcja powodują, że wyślizgują nam się z oczu łzy.

– Słuchaj, Beatko, nie róbmy z tego powodu afery. Dyrektor już podjął decyzję. Ja już ją przełknęłam, więc zostawmy to tak, jak jest. Muszę sobie poradzić i tyle – staram się zapanować nad emocjami nas obu i zapewnić sama siebie, że życie się na tym nie kończy.

Mimo ledwie dwóch miesięcy spędzonych w firmie, czuję się na tyle zżyta z naszą klientelą, że postanawiam wszystkich obdzwonić i pożegnać.

– Jaka szkoda! – Panią Kowalską, która jako pierwsza obdarowała mnie pudełkiem czekoladek, zostawiam na koniec. – Myślałam, że wreszcie mamy kontaktową osobę. Z pani jest taka porządna firma... No to niech Pani chociaż zdradzi: kto Panią przejął?